

Moja obawa o rozłam

„Jeśli rozłam Kościoła gdzieś naprawdę może się zacząć, to tylko w Ameryce. Raz dlatego, że w przeciwieństwie do umierającej religijnie Europy, siła katolicyzmu jest tam ciągle ogromna, a obozy kościelnej «prawicy» i «lewicy» są głęboko okopane i dysponują zastępami zwolenników. A dwa – bo chrześcijanie amerykańscy, o czym od dawna wiadomo, zawsze mieli silną skłonność do działań sekciarskich” – pisał Jan Rokita dla Teologii Politycznej.

Odkąd Argentyńczyk Fernandez stanął w lipcu na czele zreformowanego Świętego Oficjum, z Rzymu sypią się jak z rękawa istotne reformy katolickiej teologii moralnej. Co ciekawe, ich forma nie ma – jak dotąd – nazbyt solennego czy ceremonialnego charakteru, ale jest też jasne, iż jest wystarczająco miarodajna. Rzym wykorzystuje znaną od wieków formę odpowiedzi na pytania postawione przez najrozmaitszych biskupów, mające stanowić „wyjaśnienia” obowiązującej doktryny, tyle że tym razem sygnowane są one każdorazowo na samym dole małym podpisem „Franciscus”, z odrębną datą złożenia podpisu przez papieża. Najwyraźniej w ten sposób próbuje się zatrzeć wrażenie, iż może chodzić tu o jakieś istotne nowości doktrynalne, co niekoniecznie się jednak udaje. Od czasu objęcia urzędu przez Fernandesa upublicznione zostały już trzy takie wyjaśnienia, z których każde w jakiś sposób modyfikuje dotychczasowe nauczanie i praktykę Kościoła. Dnia 25 września papież sygnował dwa tego rodzaju dokumenty – jeden skierowany do czeskiego kardynała Duki, drugi do niemieckiego kardynała Brandmüllera i czterech jego

towarzyszy, a 31 października trzeci – do brazylijskiego biskupa Josego Neri. Rzecz jest znana, więc tylko dla porządku przypomnijmy, że w dziedzinie teologii moralnej dotyczą one zmian w traktowaniu homoseksualistów, transwestytów i wielożeńców oraz natury skruchy podczas spowiedzi. I że wszystko są to reformy w taki czy inny sposób relatywizujące reguły obowiązujące do tej pory.

Na to nakłada się rzymski synod zwołany przez papieża, trochę dziwny, a nadto mocno tajemniczy. Dziwny – bo zorganizowany w wielkiej auli Pawła VI, ale przy podstolikach, przy których toczą się debaty, tak że jedni uczestnicy nie mogą wiedzieć o tym, co faktycznie mówią inni, chyba, że istnieje jakiś nieformalny system papieskich poufnych informatorów przy każdym podstoliku (prawdę mówiąc, myślę, że papież musiałby być mało roztropny, gdyby nie istniał). Tajemniczy – bo tylko supozycje co bardziej wnikliwych obserwatorów sugerują o co na synodzie de facto chodzi i jakie planowane decyzje Rzymu synod ów ma wylegitymować. Na razie, to co przedostaje się do domeny publicznej – to emocjonalny zalew sloganów o „słuchaniu”, „inkluzyjności”, „aktywizacji”, „symfonii”, „odbudowie relacji” i „krwawiącej ziemi”. George Weigel, skądinąd katolik o poglądzie niemal ultramontańskim, pozwolił sobie nawet na ironiczny zabieg ułożenia słowniczka synodalnego, w którym po stronie „dozwolone” występują m.in. powyższe slogany, zaś po stronie „zakazane” takie na przykład terminy, jak: zbawienie, nawrócenie, pokuta, zmartwychwstanie. Żart jak to żart, ale ironii inteligentnego obserwatora zawsze udaje się uchwycić coś o wiele istotniejszego.

Gdy idzie o owe supozycje co do celu synodu, to dwie – jak mi się zdaje – wybijają się dotąd na czoło. Jedna ta, że w ostatnich chwilach swego pontyfikatu Franciszek chce dokonać głębszego przewrotu w teologii

moralnej, a konkluzje synodalne zostaną użyte jako legitymizacja takich zamiarów. W wersji radykalnej jest to prognoza głoszona przez twardo zachowawczych przeciwników papieża, już dziś oskarżających go o zdradę depozytu wiary Kościoła, albo nawet o tzw. „materialną herezję”, jak np. były szef Świątyni Niemiecki kardynał Gerhard Müller (skądinąd lubiany u nas, jako sprawdzony przyjaciel Polski). Inna supozycja – moim zdaniem bardziej wiarygodna jest taka, że skutki synodu mają być bardziej polityczne, niżli doktrynalne. To znaczy, że mają zapoczątkować przewrót w tradycyjnym systemie dystrybucji władzy wewnątrz Kościoła, pod hasłem „synodalności” osłabiając władzę biskupów diecezjalnych, ale zachowując wzmocnioną władzę papieską, jako jedyny czynnik monarchiczny. Dość przekonująco stawia taką tezę szwajcarski biskup Marian Eleganti, który zauważa (na łamach portalu «kath.net»), że z jednej strony Franciszek nieustannie przywołuje „synodalność” jako „nową magiczną formułę” władzy w Kościele, ale z drugiej – „praktyczne działania papieża mają charakter precedensowo autokratyczny, tak że nie zatrzymuje się on przed niczym i odchodzi od tego nowego synodalnego stylu w wielu obszarach: w nauczaniu, przywództwie, jurysdykcji, czy zarządzaniu kadrami”.

Tę sprzeczność pomiędzy doktryną i praktycznym stylem obecnego pontyfikatu widać wyraźnie i nie od dzisiaj. Ale jeśli Eleganti miałyby rację, to byłaby to tylko sprzeczność pozorna, mająca prowadzić do faktycznej centralizacji zarządzania Kościołem, poprzez wzmocnienie monarchii (czyli papiestwa) oraz osłabienie baronów (czyli biskupów diecezjalnych). Teologowie spierają się, jak taka zmiana ma się do Pisma Świętego i dyspozycji Pana Jezusa. Jako nie-teolog skłonny jestem sądzić, że tego rodzaju reforma znajduje jakieś uzasadnienie w dzisiejszym stanie Kościoła, zwłaszcza jeśli zważyć takie skrajne przypadki biskupiego samowładztwa, jakiego symbolem na długie lata

pozostanie złowroga figura byłego biskupa Waszyngtonu kardynała McCarricka. Zresztą centralizację władzy w Kościele rozpoczął już Jan Paweł II, stopniowo wycofując się z mocno idealistycznych założeń własnego Katechizmu i Kodeksu Prawa Kanonicznego, na rzecz wzmocnionej kontroli biskupów przez Rzym, albo wręcz pozbawiania ich wcześniej przyznanych w kanonach uprawnień. Tylko tytułem przykładu: decyzja papieża Wojtyły o centralizacji w Rzymie dochodzeń dotyczących nadużyć seksualnych każdego księdza na całym świecie, najpierw wydała mi się absurdem, gdyż patrzyłem na nią z perspektywy efektywnego zarządzania globalną machiną Kościoła. Ale potem pojąłem, że była aktem racjonalnym, skoro liczni biskupi wyspecjalizowali się w maskowaniu tego rodzaju księzowskich deliktów. Tak samo jak w świeckiej polityce, centralizacja może czasem być instrumentem naprawy systemu, jeśli wcześniejsza dyspersja władzy zaowocowała jego rozkładem.

No i dopiero na tle owych pospiesznie ogłaszanych przez Rzym nowinek z teologii moralnej oraz wszystkich dociekań i domysłów biorących się z dziwności i niejasności synodu, widać znaczenie i ryzyko papieskiej decyzji o wyrzuceniu biskupa Josepha Stricklanda z jego diecezji. Rzecz jest niczym z greckiej tragedii: Rzym nie miał wyjścia innego, niżli pozbawić urzędu biskupa, i to mimo że na tle zachowawczych antypapieskich jastrzębi pośród biskupów Strickland jest niemal gołąbkim. Jednak ostatnio, zapewne pod wpływem represji, jakie zaczęły spadać nań z Rzymu, przekroczył chyba Rubikon, oświadczając najpierw publicznie, iż Franciszek ma „program podważania depozytu wiary”, zaś w ostatnich dniach oskarżył papieżstwo na wielkim zjeździe konserwatywnych katolików, iż „wspiera ono atak na sacrum”. Przy okazji odczytał tam również „list od przyjaciela”, w którym mowa o uzurpacji biskupa Bergoglio na tronie papieskim, sam w ten sposób próbując uchylić się od autorstwa tak

ostrej tezy. Poproszono go natychmiast o dymisję, a gdy odmówił, został wyrzucony przez papieża. Ale Strickland był już solą w oku rzymskich dykasterii od dłuższego czasu, gdyż wokół jego krytyki odstępstw Rzymu od tradycji teologii moralnej gromadziły się liczne zastępy prawicowych Amerykanów z kręgu zwolenników Trumpa. W ubiegłym roku na zagubioną gdzieś w Teksasie diecezję Tyler, rządzoną przez Stricklanda, nasłano z Rzymu kontrolę, która (jak czytam w mediach amerykańskich) miała udowodnić korupcję kurii biskupiej. Co prawda niczego nie udowodniła, ale jak się teraz dowiadujemy, i tak rekomendowała papieżowi pozbawienie biskupa jego urzędu. Tak, tak... Kościół jest instytucją ludzką i polityczną, o czym przecież wiemy już od czasu awantur pomiędzy apostołami podczas pierwszego soboru jerozolimskiego.

Ale kluczowe pytanie, które koniecznie trzeba dziś stawiać, i to stawiać z rosnącą obawą – to pytanie o możliwość rozłamu w Kościele Rzymsko-Katolickim. Zbitka sporu o dystrybucję władzy oraz o pryncypia teologii moralnej – to mieszanka prawdziwie zapalna dla Kościoła, zdolna sprowokować otwarty bunt i schizmę. Tym bardziej, że – jak słusznie zauważa Eleganti – papież od jakiegoś czasu wygląda na takiego, który nie będzie przebierać w środkach, bo też zapewne zaczęło mu się spieszyć, w obliczu nieuchronnego zmierzchu pontyfikatu. Strickland z kolei nie wygląda co prawda na takiego, który chciałby stać się przyczyną schizmy, ale Luter też przecież na takiego nie wyglądał, co najmniej do czasu nieszczęsnej „lipskiej dysputy” z lipca 1519 roku. Ani ówczesnemu papieżowi Leonowi X – pragmatycznemu Medyceuszowi, nie był w głowie żaden rozłam, tyle że jego panowanie dobiegało końca i też zaczęło mu się spieszyć z decyzjami.

W ciągu ostatnich lat można było wiele czytać i słuchać na temat niebezpieczeństwa rozłamu, wywoływanego przez nadmiernie postępowych biskupów niemieckich. Ale to nieprawda, gdyż Rzym, zgodnie z ideowymi preferencjami samego papieża, cały czas łagodzi, a nie zaostrza spór z Niemcami. Jeśli rozłam Kościoła gdzieś naprawdę może się zacząć, to tylko w Ameryce. Raz dlatego, że w przeciwieństwie do umierającej religijnie Europy, siła katolicyzmu jest tam ciągle ogromna, a obozy kościelnej „prawicy” i „lewicy” są głęboko okopane i dysponują zastępami zwolenników. A dwa – bo chrześcijanie amerykańscy, o czym od dawna wiadomo, zawsze mieli silną skłonność do działań sekciarskich, a tę ich starą skłonność ożywiła jeszcze tocząca się i rozpalająca miliony Amerykanów polityczna wojna między Trumpem i obozem lewicowo-liberalnym. Wyrzucony biskup Strickland – ideowiec, człowiek świątobliwy, a przy tym świetny mówca, staje się właśnie, po decyzji Rzymu, czołowym przywódcą duchowym całego obozu amerykańskiej alt-prawicy, kimś na kształt vice-Trumpa. Jego czołowym obrońcą jest już polityk – generał Flynn, niegdysiejszy doradca Trumpa, ds. bezpieczeństwa narodowego. Całkiem niespodziewanie dla Rzymu rozłam Kościoła może się więc zacząć od nadchodzącej kulminacji wojny, jaka przewala się przez amerykańską politykę.

Jan Rokita